Rok V. Kraków, 15 Lutego 1897. Nr. 4.



PISMO LUDOWE.

Przedpłata na *Nowy Dzwonek* razem z *Nowinami* i *Rozmaitościami* wynosi w **Galicyi:**
rocznie: **3** złr.
półrocznie: **1** złr. **50** ct.
Kwartalnej przedpłaty *nie przyjmuje się.*

W Niemczech rocznie: **6** mk. — półrocznie: **3** mk.

W Ameryce rocznie: 1½ dolara.

Adres do przesyłania przedpłaty: *Redakcya Nowego Dzwonka,* w **Krakowie**, ul. Basztowa l. 4.

Wychodzi dwa razy w miesiącu — dnia **1**-go i **15**-go.

Wydawca i redaktor: ***Ks. Marceli Dziurzyński.***

Do **każdego** numeru dołącza się **bezpłatnie** drugą gazetkę pod tytułem: ***Nowiny*** i ***Rozmaitości.***

Każdy, kto złoży **całoroczną** prenumeratę na *Nowy Dzwonek*, otrzyma za to w Lutym b. r. jako premię bezpłatną książeczkę p. t.: **„Pamiątka katolicka“.** Na przesyłkę pocztową tej premii należy dołączyć do prenumeraty **10** centów (z Niemiec **15** fen.).

Kto zaś (oprócz siebie) pozyska dla *Nowego Dzwonka* choćby tylko **jednego** nowego prenumeratora, ten osobno otrzyma za to jako drugą nagrodę książkę do nabożeństwa p. t.: **„Droga do nieba“.**

Trzy piękne przykłady waleczności naszych przodków.

Za panowania Bolesława Wielkiego jeszcze tu i ówdzie panowało bałwochwalstwo. gdyż dla szczupłej liczby kapłanów, znających język polski, nie można było przekonać pogan o prawdziwości religii chrześcijańskiej. Pewna liczba rycerzy, którzy nie chcieli porzucić czci starosłowiańskich bogów, zbudowała sobie na niedostępnej górze Łysej, dziś Świętokrzyską zwanej, warowny zamek. gdzie się kłaniano fałszywym boży-

szczom. Król Bolesław wezwał opornych rycerzy, aby przyjęli chrześcijaństwo i oddali zamek, ale usiłowania te nie odniosły pożądanego skutku. Dzielny monarcha postanowił siłą zbrojną przełamać opór, dlatego zebrawszy hufiec wojowników, wyruszył ku górze Łysej.

Nie łatwa to była sprawa, gdyż buntownicy byli dobrze uzbrojeni, a stroma góra nie dozwalała przystępu. Tem trudniejszą była walka, gdyż był to czas zimowy, a całą górę pokrywały śniegi i lody. Jeźdźcy pędzili śmiało pod górę, ale mając niepodkute konie, nie mogli podjechać pod mury warowni.

Poganie urągali się z wojska, wołając: „Jednego z was wybierzcie, coby chciał za Chrystusa waszego stoczyć pojedynek z rycerzem, którego wybierzemy“.

Wnet się do boju zgłosił pewien wojownik, zwany Jastrzębczykiem, gdyż używał jastrzębia na swej tarczy za godło. Wyznaczono miejsce do walki niedaleko zamku, ale rycerz nie mógł przybyć, gdyż koń jego na gładkim lodzie wciąż się potykał. Wielka ztąd panowała wesołość pomiędzy obleżonymi, a smutek w wojsku królewskiem.

Jastrzębczyk, pełen żarliwości dla świętej wiary, przemyśliwał nad sposobami, aby mógł wjechać na szczyt góry. Razu pewnego zaszedł w las daleko zadumany. Wtem nagle doleci go odgłos młotu kowalskiego. Rycerz stanął, a w tej chwili ujrzał kowala, który się tak odezwał:

— Jakoż jesteście frasobliwy, panie rycerzu. Jakiż to smutek gniecie waszą duszę?

— Mój dobry człowieku, — rzecze Jastrzębczyk, — nie powiem wam smutku, bo i tak mi nie poradzicie.

— Kto wie, — odpowiedział kowal, — ho, ho, z niejednego pieca chleb jadłem, byłem daleko w świecie, a za młodu wojowałem. Nad rzeką Cydyną, pod dowództwem Mieczysława, rodzica naszego miłościwego króla, odebrałem tę kresę na twarzy.

— Witam kolegę rycerskiego rzemiosła. Nie będę taił co mi dolega. Oto na tej górze zamknęli się wyznawcy starej wiary, a niepodobna do nich dojechać, gdyż lód okrutnie gładki. Mam się jutro stawić na pojedynek, a nie wiem, jak podjadę.

— Jeżeli nie chodzi o nic więcej, to mogę wam pomódz. Kiedym wojował w niemieckiej ziemi, widziałem, jak koniom przybijano pod nogi okrągłe kawałki żelaza, a wtedy konie szły bezpiecznie po śniegu i lodzie. Umiem podkuwać konie i mogę wam wnet kopyta waszego rumaka opatrzyć w podkowy.

Rycerz, nie namyślając się długo, poprosił o podkucie,

a na drugi dzień istotnie podjechał na szczyt góry, gdzie stoczył pomyślną walkę z pogańskim wojownikiem, a powaliwszy go o ziemię, wziął w niewolę i przyprowadził przed króla. Opowiedział też, jakiej zażył sztuki, żeby się dostać na wierzchołek Łysej góry. Król kazał zaraz zawołać kowala, aby tenże podkuwał konie wojowników.

Kowal, sprowadziwszy kilku towarzyszy, zwijał się szybko, a wkrótce połowa hufca miała podkute konie. Z łatwością pod dowództwem Jastrzębczyka stanął oddział przed zamkiem rychło rano, a że nie było straży, przeto wtargnęli rycerze we wnętrze zamku, gdzie śpiących przeciwników częścią wysiekli, częścią wzięli w niewolę.

Za tę waleczność dodał król Bolesław Jastrzębczykowi do godła jastrząb podkowę z krzyżem. W taki sposób powstał herb Jastrzębiec, który przedstawia u góry na koronie jastrzębia, trzymającego w szponach podkowę z krzyżem. Jest to jeden z najstarszych i najwięcej rozpowszechnionych polskich herbów, którym się pieczętuje przeszło 300 rodów szlacheckich.

Pamiętał także dobry król Bolesław o kowalu, gdyż zamianował go królewskim podkuwaczem koni i wezwał do Gniezna, gdzie mu oddał ładny dworek i kawał ziemi. Wdzięczny kowal podkuwał konie polskiej jazdy, co się przyczyniło do odnoszenia zwycięztw.

* * *

Odznaczał się też w tych czasach niezwykłem męztwem i przytomnością umysłu giermek Jan, zwany później Strzemieńczykiem. Wyruszył on z królem 1018 r. do Kijowa.

Dnia 22 lipca przyszło do bitwy nad rzeką Bugiem pomiędzy wojskiem polskiem a księciem ruskim Jarosławem, który zgromadził nieprzeliczone mnóstwo Rusinów i Waregów. Bitwa była bardzo zacięta, gdyż nieprzyjaciele mieli liczebną przewagę. Jan Strzemieńczyk dokazywał cudów waleczności, dlatego wkrótce stał się postrachem Rusinów. Wtem, gdy uderza na samego księcia Jarosława, ubito mu konia. Wojownik pada na ziemię nieuszkodzony, ale nie mógł zaraz powstać, gdyż nietylko go koń przywalił swoim ciężarem, lecz jeszcze na dobitkę złego zaplątały mu się nogi w strzemiona. Nieprzyjaciele dopadają i byliby go na miejscu rozsiekli, gdyby był Jan stracił przytomność umysłu. Ale ten porwał strzemię z rzemieniem i ugodził tak potężnie jednego z nacierających, że zabił go na miejscu. Zręcznym rzutem powstał z ziemi, a dosiadłszy rumaka nieprzyjacielskiego, zaczął walić potężnie strzemieniem

napastników. Zabił jeszcze jednego, kilku zranił, a jednego zabrawszy w niewolę, przyprowadził przed króla. Ucieszył się Bolesław Wielki na widok takiego męztwa, to też pochwalił żołnierza i dał mu herb strzemię, którego po dziś dzień używa kilkadziesiąt rodów szlacheckich.

*
*   *

W kilkadziesiąt lat później sprawił się podobnie na Rusi rotmistrz Radwan, wojując pod Bolesławem Śmiałym, prawnukiem Bolesława Wielkiego. Ten Radwan wysłany był z małym hufcem żołnierzy na zwiady. Wtem trafia na obóz nieprzyjacielski. Mężny Radwan śmiało uderza, choć przeciwnicy dziesięćkroć byli silniejsi liczbą. Nie dziw też, że został odparty, a nawet zabrano mu chorągiew. Kto inny straciłby może ducha, ale nasz Radwan pobiegł szybko do pobliskiego kościoła, pochwycił za chorągiew kościelną i zgromadził rozpierzchłe rycerstwo. Uderza znowu. Nieprzyjaciel sądząc, że nowy zastęp polski przybył na pomoc, zaczyna uciekać, a Radwan zatrzymuje plac boju. Za ten czyn dzielny król nadał mu chorągiew za herb, t. j. godło szlachectwa.

Takie to męztwo ożywiało naszych przodków w wieku XI. t. j. w czasie od roku 1000 do 1100. To też Bolesław Wielki zdobywał liczne ziemie i przyłączał do Polski, a wnuk jego Bolesław Śmiały walczył z powodzeniem na Rusi, w Czechach i Węgrzech, roznosząc sławę polskiego imienia w tych postronnych krajach.

Nocleg kwestarza.

Było to już późną jesienią, jeszcze za czasów pańszczyźnianych. Już ludzie z pola posprzątali zboże, już pokończyły się zasiewy ozime. Jaki taki w tę porę roku ma jaką garść zboża w stodole i zapomniawszy o przednowku, opatruje chałupę na zimę. Dostatniejszy gromadzi suche pniaki na szczapy, przy których kądzielnice zimową porą będą śpiewać lub opowiadać baśnie, mężczyźni zaś strugać jakie porządki gospodarcze i słuchać ciekawych gadek o zaczarowanej królewnie, o smoku z siedmiu głowami, albo o trzech braciach.

We wsi Politanice nad samym stawem stała chałupa murowana, grubo poszyta słomą; okna szklanne nie potłuczone i nie pozatykane deskami jak to gdzieindziej, przy niej spora stodoła, obora i chlewy ogrodzone wysokim płotem dokoła, wskazywały mieszkanie jednego z zamożniejszych gospodarzy wsi.

Na dworze padał już od kilku dni deszcz jesienny; drobny a zimny wiatr zamiatał nim na wszystkie strony, przez okna chałupy jasno się świeciło, a gospodyni właśnie stawiała na stole potężną donicę klusek z mlekiem i miskę z jajecznicą na słoninie; gospodarz w kaftanie sukiennym opasany sutym wełnianym różnokolorowym pasem, dwoje dzieci, żona, parobek, dziewka i służąca i chłopak podrostek brali właśnie za łyżki, siadając do smacznej wieczerzy, kiedy kruczek pies przed domem leżący z całą siłą zaczął ujadać, a jednocześnie dało się słyszeć skrzypnięcie wrót od podwórza.

— Kogóż tam licho niesie po nocy? — powiedział nieukontentowany Łukasz — wyjrzyj tam Maryna, może jakie dziadzisko, to zamknij drzwi na skobel; a bo to u mnie karczma, czy co?

Dziewka poskoczyła do drzwi i kiedy chciała wyjrzeć, te otworzyły się i na progu pokazała się wysoka czarna postać Bernardyna.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — powiedział zakonnik, zdejmując z siebie przemokłą pelerynę habitu i koszyk stawiając na ziemi.

— Na wieki — zaledwie odmruknął Łukasz, i jakby nie zważał na przybyłego, wziął łyżkę do ręki, kiwnął na swoją czeladkę, żeby się brała do miski i zaczął w najlepsze zajadać.

— Mój dobry gospodarzu — mówił powoli braciszek — pozwólcie mi się tu przenocować; od samych Zawad idę po tej nowo usypanej gliniastej grobli, błoto po kolana, ledwo nogi już mogę powłóczyć, przemokłem, a nawet Bogiem a prawdą trochę głodny jestem.

To rzekłszy, będąc pewny pozwolenia, już zabierał się usiąść blisko komina, kiedy Łukasz odrzekł:

— Chałupa ciasna, my sami ledwo się możemy pomieścić; tego roku nieurodzaj i na liwerunki zboże trzeba dawać, niech ojciec idzie do dworu albo do ekonoma na końcu wsi, to się i wyspi dobrze i podje sobie.

— Dla mnie niewiele potrzeba, znajdzie się może u was snopek słomy, to i dosyć, a pożywić się, kiedy niema czem, to się i obejdzie; dziś też sobota, to nie zaszkodzi, że się człowiek bez kolacyi spać położy.

Łukasz spojrzał tylko na parę skwarków w jajecznicy, co ją w tej chwili miał na łyżce, i rzekł:

— Idźcie sobie mój ojcze z Bogiem; bo ja was nocować nie będę, ja już tam żadnych pielgrzymów do swego domu nie przyjmuję.

Bernardyn na takie niezwykłe niegościnne przyjęcie spojrzał zdziwiony po chacie, jakby się chciał przekonać o zamożności gospodarza, a widząc i piękną pościel na łóżkach i porozwieszane szaty bogate i pełno różnych pięknych obrazów na ścianach, nic nie mówiąc, okrył się nazad peleryną, wziął koszyk z jajami, kaptur nasunął na oczy, i rzekł, żegnając się.

— Niegościnny jesteś, mój gospodarzu! głodnego, strudzonego i zziębniętego wypędzasz od siebie bliźniego; oby ci Bóg tego nie policzył za występek.

Łukasz, jakby nie słyszał tego, w najlepsze zajadał; żona spojrzała na niego, ale nie śmiała nic mówić, bo już to jak Łukasz był zły, nie pozwalał sobie nic przekładać, a gdy mu się sprzeciwiano, to nic u niego nie było i porwać się do pięści.

Bernardyn przeżegnał dom pobożnie i nic już więcej nie mówiąc, wyszedł. Kruczek poradował mu się w sieni, wrota skrzypnęły od podwórza, a Łukasz zaczął burczyć na parobka, że ich na kłódkę jeszcze nie zamknął, i sam skończywszy wieczerzę, zapalił fajeczkę na krótkim cybuszku, drzwi zamknął od podwórza na kłódkę, i kazawszy sobie żonie zrobić krupniku, poszedł z parobkiem do obory pozadawać jeszcze wołom na noc, a miał sześć cielców jakby łanie, dobre trzy konie stały w stajence — później zajrzał do krów, bo była właśnie jedna na ocieleniu, do owiec, ruszył kłódkę od stodoły, czy czasem nie przepomniał zamknąć; i obszedłszy cały dobytek, wrócił do chałupy, usiadł przy kominie i nalał sobie szklankę krupniku, i siedział nic nie mówiąc do nikogo.

Dzieci się pokładły, czeladź poszła spać, żona tylko jeszcze nastawiła sagan kartofli drobnych dla tucznego wieprza do osypki, i rzuciła się nierozebrana na łóżko, żeby się troszkę przedrzemać.

Bernardyn tymczasem wyszedłszy za wrota, choć deszcz zaczął lać jak z cebra, szedł po gliniastej drodze, ledwie nogi wywłócząc z błota; a widząc niedaleko liche światełko w oknie, tam skierował swoje kroki. — Chałupka to była mała i biedna, snopki z poszycia poobdzierane gdzieniegdzie, podwórze nieogrodzone, drzwi od obory na rozcież otwarte, jawnie mówiły, że gospodarze tego domu są albo bardzo biedni, albo bardzo leniwi.

Bernardyn uchyliwszy drzwi chałupy licho oświeconej mokrem drzewem na kominie, zobaczył wnętrze chaty ubogie: parę lichych obrazków wisiało na ścianie, łóżczyna, stół, ławy i krosna, ot całe sprzęty. W jednym kącie na łóżku leżał mężczyzna około lat 30, lecz blady, schorzały, widocznie od da-

wnego już czasu przykuty do łóżka chorobą; w drugim kącie dwie owce miały zagrodzoną dla siebie stajenkę; kobieta z dzieckiem dwuletniem na ręku jadła suche bez soli kartofle, kiedy właśnie Bernardyn pokazał się we drzwiach.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków Amen! — odpowiedzieli jednocześnie kobieta i chory na łóżku.

— Nie przenocowalibyście mię czasem, gospodarzu?

— Prosimy, bardzo prosimy, ale czy mój ojcze, będziecie chcieli nocować w takiej biednej chałupie? Czem chata bogata, tem rada; co mamy, to damy, mój dobrodzieju.

— Z poczciwymi ludźmi, to wszystko dobrze — odrzekł Bernardyn — Bóg wam zapłać za wasze dobre chęci, mnie nie wiele potrzeba, snopek słomy to i dosyć.

Gospodyni położyła dzieciaka, raźno przyniosła sporą wiązkę siana, zestawiła ławki do pieca, przykryła kilimkiem, wyjęła jednę poduszkę z łoża i w moment była gotowa pościel, a zakrzątnąwszy się w sieni, złapała kurę, których tylko miała trzy, i już ją chciała zarzynać, kiedy ją Bernardyn wstrzymał, mówiąc:

— Bóg zapłać poczciwa kobieto, niech ci On tysiąc razy nagrodzi twoją gościnność, dziś post, zjemy razem kartofle jakie są, to się i posilimy, mówił Bernardyn z łzą wdzięczności w oku.

— Cóż to jest waszemu, zapytał się z współczuciem braciszek. Widzę chory, czy dawno już?

— Otóż to bieda nasza, proszę jegomości, ta choroba, dopókąd było zdrowie, toć tu u nas nie tak było, jak teraz, ale już rok minął na święty Wojciech, jak dostał niewiadomo z czego zimnicy (febry); z początku ją miewał co trzy dni i jakby nigdy nic, chodził na pańskie i koło swego dobytku się krzątał; nastała przeszła wiosna, on co noc jeździł ze szkapami na błonie, bo chłopaka przychodniego, cośmy przyjęli na gody do koni, to pokazało się z niego ladaco wielkie, musieliśmy się z nim ciągle ucierać, to też mój raz mu powiedział:

— Słuchaj Wojtek, albo rób jak się należy, albo idź sobie z Panem Bogiem, bo mnie nic po takiej robocie jak twoja.

— To pójdę — powiedział, a już był nawet pięć reńskich nadebrał zasług od nas. Niewiele też myślący, zebrał szmaty i poszedł. Mój więc musiał jeździć z końmi na rosę na noc, zimnica coraz bywała częściej; nareszcie się i obłożnie położył, ja sama rady sobie dać nie mogłam, ni tu komu iść na pańskie, ni tu komu koło chałupy zrobić, a tu i dziecko skrzeczy

i sam gospodarz chory, aż ja sobie tak myślę: trzeba iść do dworu, poprosić, żeby pofolgowali pańszczyzny, ta może też i mąż wstanie, da Bóg zdrowie, to się to kiedyś odrobi.

Wzięłam więc parę kurczaków na gościniec i poszłam, ale już to widać Bóg tak chciał, państwo tego samego dnia wyjechali gdzieś tam za granicę, powiedzieli mi, że do wód jakichś. Jednak to już musi być bajka, bo ja służyłam we dworze jeszcze za ojca pani za pokojowę, to ledwie parę razy widziałam, żeby pili wodę, a gdyby chcieli pić, to proszę jegomości, nasza źródlana woda, ze zdroju za ogrodem, pewnoby żadnej nie ustąpiła. Bądź cobądź, dość, że już nie zastałam państwa; poszłam więc do ekonoma, złożyłam mu kurczęta, ten mi przyrzekł folgować. Aż tu na drugą niedzielę znowu woła na pańskie. Najmowałam więc. póki było za co, aż tu jednego rana, a było to przed same żniwa, chłopak Kuby, com go obstalowała, by nam pasał szkapy ze swojemi razem, wchodzi i pyta się:

— Czyście, gospodyni, wypuścili szkapy na trawę?

Mnie zaraz tknęło coś, jakby mi kto nożem po sercu pociągnął, ledwiem mogła odpowiedzieć, że nie.

Wypadłam z chałupy, stajenka była odbita, kłódka leżała na boku, aż tu i uzdeczek niema i chomont brak na ścianie. Ja w płacz, mój się wywlókł z chałupy, pyta się, czym komu woza nie pożyczyła, ja patrzę i woza niema, a wóz był prawię nowy, i robiony na obstalunek.

Poschodzili się sąsiedzi, zaczęli tropić za śladem, ale tylko było znać, dopoką nie wyjechał na twardą drogę, dalej już ani śladu. Najęłam więc parę sąsiadów, zapłaciłam i posłałam szukać; ale złodziejowi jedna droga, a szukającemu dziesięć; wszyscy powrócili z niczem i to nas tylko dziwiło, że „bukiet“ ani razu nie szczeknął. Jakeśmy sobie zaczęli rozważać, to nikt inny, tylko Wojtek, nic dobrego, co u nas służył za parobka, tak nam się przysłużył, bo go nawet tego dnia widzieli we wsi. — Ofiarowaliśmy to wszystko Bogu, a mąż z frasunku jeszcze więcej zaniemógł. Żniwa się zbliżyły, a tu nie było ani kim żąć, ani za co nająć! Mieliśmy trzy krowy, jedna z nich w piątym roku, dopiero po pierwszem cielęciu, aż tu przylatują dzieci z płaczem, że wilk naszą „sadochę“ udusił. My w płacz — ale co to już pomogło? już takie było Boskie zesłanie i wola św. Mikołaja, patrona od wilków. Tego samego wieczora wołają mię do ekonoma, a ten mówi:

— Państwa niema, ty zalegasz pańszczyznę, konie ci ukradli, krowę wilk zjadł, ty nie będziesz miała czem zapłacić

pańszczyzny, wezmę więc obiedwie krowy na pewność do dworu, a ty sobie rób jak chcesz.

Ja w płacz i prośby, lecz to nic nie pomogło, krowy wzięli do dworu, a my zostaliśmy jakby bez ręki; jeszcze to bieda, proszę jegomości, że nasze działki stykają się z działkami Łukasza bogacza, bo ten na nic nie uważa, a bydło jego, gęsi i wszystek dobytek, całe dnie siedziały w naszem zbożu; było zaś co mówić, to jeszcze się nawyzywał. Tak więc nie sprzątnęliśmy, większa część na pniu obleciała; mój coraz słabszy i już nie wiemy, jak sobie radzić, trzeba już chyba z głodu umierać i to mówiąc, zalała się gorzkiemi łzami biedna kobieta.

— O nie, moi poczciwi ludzie! Bóg was doświadcza — mówił Bernardyn — a jako po nocy zimowej następuje przesilenie, tak i tu po największych nieszczęściach, powróci do was szczęście, tylko ufajcie Bogu, rąk nie opuszczajcie, a On was wyprowadzi z nieszczęścia; wam zaś, mój gospodarzu, dam tu proszki; codzień będziecie je zażywać, a da Bóg, że przyjdziecie do siebie i że wszystko jeszcze się zmieni na dobre. Teraz zaś, pomodliwszy się, pójdziemy spać, a jutro będziemy radzić o waszej biedzie, tylko ufajcie szczerze!

To mówiąc Bernardyn, rzucił się na kolana, chcąc odmówić wieczorne modlitwy, gospodyni naśladowała go, w chacie tymczasem ogień przygasł na kominie, gdy wtem „Jezus Marya!“ krzyknęła kobieta, spoglądając w okno. Bernardyn zerwał się żywo i w tejże chwili czerwona łuna uderzyła w okno: pożar w środku wsi. Co żywo więc braciszek jak stał, porwał pasyjkę wiszącą na ścianie i wyleciał na dwór, kazawszy gospodyni, żeby ile może robiła krzyku, bijąc w okna sąsiednich chałup.

Braciszek lecąc na oślep ku pożarowi, krzyczał ile miał sił:

— Gore! gore! ratujcie!

Ludziska powylatywali z chałup i zaczęli się gromadzić około gumien i chałupy Łukasza, objętej już płomieniem, ale zamiast dawać ratunek jaki, stali bezczynnie się przypatrując.

— Ratujcie na miłość Boga, ratujcie! — wołał Bernardyn. Ale z tłumu wystąpił jeden wysoki chłop barczysty i rzekł.

— A! niech się pali niecnota, on pomiata wszystkiemi. zaufany w swoje bogactwa, czort go weźmie teraz z jego bogactwami.

— Czy chrześcijanie jesteście? — zawołał Bernardyn, pokazując im krzyż Zbawiciela w ręku — kto chrześcijanin jest, zaklinam go na rany Jezusa, naprzód! — i to mówiąc, porwał sporą osękę i zaczął rozrywać palące się głownie.

Wieśniacy potrzebowali tylko przykładu: ochotnie rzucili się do ognia i zaczęli ratować, ale płomień objął już całe zabudowania gospodarcze i wszelki ratunek był już niepodobny.

W tej chwili Łukasz, osmolony od ognia z opalonemi włosami wybiegł z chałupy, niosąc spory wór przed sobą; za nim żona z chłopakiem i dziewczyną, ale w tej chwili, jakby sobie co przypomniała, raptownie rzuciła się nazad, lecz dach już był przepalony, iskry sypały się i zapalały odzienie.

— Ratujcie moją córkę w kolebce! — wołał rozpaczającym głosem Łukasz. — Oto cały mój majątek — mówił, pokazując spory wór rubli — dam go, kto mi odda Jadwisię.

Sam chciał lecieć w ogień, ale siły go opuściły od wzruszenia i upadł jak długi na ziemię.

W tej chwili Bernardyn, w jednem mgnieniu oka, rzucił się do wnętrza chaty, całej już napełnionej dymem, iskry zapaliły mu odzienie i znikł w tym odmęcie — dym zaciemnił zupełnie stancyą, lecz Bóg prowadził jego kroki prosto do kolebki niemowlęcia: porywa je, okrywa swoją szatą, lecz w tej chwili dym zakrywa mu drzwi, pułap trzeszczy i strumienie płomieni już się wznoszą nad głową.

— Boże! wspomóż mnie! — woła z ufnością szlachetny Bernardyn — i w tej chwili Anioł otwiera jego oczy i widzi okno, przez które buchają płomienie; w mgnieniu oka wyrzuca dziecko przez okno i sam rzuca się za niem, płomienie twarz mu opalają, kaleczą ręce, aż sam pada tuż przy oknie. Wieśniacy odciągają go poparzonego, zrozpaczona matka przyciska ocalone dziecko, Łukasz pada na kolana ze łzą wdzięczności w oku — a tymczasem reszta zabudowania z trzaskiem się zawala. Łukasz chce poznać zbawcę swojego dziecięcia, zbliża się i poznaje Bernardyna, któremu tak niegościnnie odmówił dzisiaj noclegu, przysuwa się i chce mu ofiarować nagrodę, ale szlachetny człowiek odsuwa jego rękę i mówi:

— Schowaj pieniądze, bo Bóg ci je zostawił, żebyś wynagrodził krzywdy, przez ciebie poczynione sąsiadom, ja zaś zrobiłem tylko to, com powinien; ty zaś miej teraz naukę, że Bóg daje bogactwa i w jednej chwili odebrać je może.

Nareszcie z trzaskiem zawala się ostatni budynek. Zgromadzeni wieśniacy stali tłumem około dymiącego się zgliszcza. Wtem dało się słyszeć silne tętnienie w dali. W kilka minut pojazd zaprzężony czterema spienionymi końmi, zatrzymał się u pogorzeliska; drzwi karety szybko się otworzyły i wyskoczył z nich młody, przystojny mężczyzna, a za nim wyjrzała ładna głowa młodej kobiety.

— Nasi państwo! nasi państwo! — rozległo się wokoło. — Tłumy zaczęły się gromadzić koło karety i opowiadać państwu o całym pożarze i o szlachetnym ratunku, danym przez Bernardyna.

— Więc to chata Łukasza się spaliła — mówił pan — zapewne sam zapruszył ogień z fajki, bo jej nigdy nie wyjmuje z ust, sknera to i matacz, Bóg go ukarał za jego życie.

— Ale gdzież jest ten szlachetny Bernardyn? — mówiła z zapałem młoda pani — gdzie on jest, czy nie bardzo pokaleczony?

— Gdzie on jest? — powtórzył dziedzic, oglądając się naokoło, a zobaczywszy na boku stojącego człowieka, podszedł ku niemu i wyciągając do niego rękę, rzekł:

— Nagrodę masz w samym czynie, od nas zaś przyjmij wyrazy prawdziwego szacunku. — Ale w tej chwili wpatrzywszy się głębiej w jego lice, rzucając się w jego objęcia, zawołał:

— Co widzę! Józef, kolega mój i przyjaciel! tyś został Bernardynem?

— Ja zostałem sługą Bożym — odrzekł poważnie Józef, ściskając serdecznie dawnego kolegę — i tu zaraz zanoszę do ciebie prośbę, ażebyś przyszedł w pomoc biednemu Grzesiowi Cbolewie, który mnie dziś przyjął tak gościnnie, a który jest teraz w bardzo wielkiej potrzebie; i tu opowiedział zakonnik zdarzenie, jakie miał tego wieczora.

— Co, moja Agatka Grzegorzowa, potrzebuje pomocy — zawołała pani z karety — bądź pewny, szlachetny księże, że ją mieć będzie.

Rozrzewniona Agata rzuciła się dawnej swej panience do nóg z płaczem, a ta ją szczerze przycisnąwszy, kazała być spokojną o wszystko.

Pan zabrał księdza Józefa do karety i rozkazawszy postawić straż przy pogorzelisku, żeby czasem wiatr nie zaniósł gdzie iskry, udał się ku dworowi, zkąd dotąd nie puścił księdza Józefa, aż przy nim wrócił dostatek do chaty Grzesia, którą pan kazał natychmiast wyreperować, dał bydło, konie i zapomogę w zbożu.

I tak to Bóg sprawiedliwy w jednej chwili ukarał bogacza nielitościwego, a podźwignął nieszczęśliwego, lecz poczciwego Grzegorza.

KRET
czy jest szkodliwym i jakie jest o nim podanie ludowe.
(Pogadanka naukowa).

Któż z was Czytelnicy nie widział czarnego ryjkowatego zwierzątka, co przebywa pod ziemią, co jest grube, krótkie a wałkowate, co zdaje się być bez uszów i oczów, a oprócz tego ma kusy ogonek i w porównaniu ze swą marną wielkością ogromne do kopania łapy?...

Osobliwsze to zwierzątko można poznać od pierwszego wejrzenia.

Nazywa się ono kret.

Rolnikom zwierzątko to uparcie się narzuca i dlatego jest im znane — nie zaszkodzi przecież, gdy mu się bliżej przyjrzymy i zbadamy, jak żyje, jak mieszka, czem się żywi i co robi?

Kret ma minę wielkiego eleganta. Posiada porządne futro o gęstym, krótkawym i miękkim włosie, które błyszczy niby aksamit, a błyszczą mu też wąsy i jakby podstrzyżona cienka nad oczami szczecina. Łapy, podeszwy łap, koniec ryja i ogon ma gołe, lecz to nie psuje buńczucznej jego miny i bardzo mu z tem do twarzy, zwłaszcza iż członki te są ładnego cielistego koloru.

Wskutek braku u niego wierzchnich uszów i niewidocznych prawie oczów, ludzie dawniejsi myśleli, że jest zupełnie głuchy i ślepy, Ale to nieprawda. Choć on nie ma takich uszów, żeby mu jak u innych zwierząt z wierzchu sterczały, — ma jednak uszy głębiej wewnątrz, i nawet bardzo dobrym odznacza się słuchem. Nie jest pozbawiony także i oczów; leżą one między końcem ryjka i uszami, ale że całkowicie zakryte są włosami głowy, a że tak są maleńkie jak ziarnka maku, więc nic dziwnego, że ludzie nie prędko mogli ich dojrzeć. Kret zatem ma oczy i nie jest ślepy, tylko że wzrok ten jest nader słaby i ponieważ światło sprawia kretowi przykrość, bardzo też rzadko wychodzi on dobrowolnie na wierzch ziemi.

Co do rąk czyli przednich łap jego, to są one tak krótkie, że nie mogą jak należy podtrzymać brzucha, — brzuch na nich wsparty, włóczy się prawie po ziemi. Łapy te przeznaczone do kopania ziemi, opatrzone są w palce uzbrojone szerokimi pazurami i są odwrócone na zewnątrz czyli na nice. Budowa tych łap wyglądających niby łopaty lub szpadle tak jest osobliwa, że od pierwszego spojrzenia na kreta — bije w oczy. Oprócz tego że kret omawianych łap używa do rycia

ziemi, podaje sobie także niemi pokarm do gęby, a w razie potrzeby przepłynięcia na drugą stronę jeziorka lub rzeki, używa ich jako wioseł. Za to o ile przednie łapy są silne i szerokie; o tyle znów tylne nogi są wątłe, palce w nich rozdzielone, a pazury ostre i cienkie.

W ogóle biorąc kret ma taki skład ciała, że trudno mu przebywać na powierzchni ziemi; nie może bowiem ani skakać, łazić, ani nawet swobodnie chodzić.

To też szuka on miejsc podziemnych. Najchętniej kopie się pod łąkami, polami, lasami i dąbrowami, a mniej lubi okolice górzyste i piaski. Będąc zaś niedołężny na wierzchu ziemi, — nadspodziewanie biega chyżo w podziemnych swych korytarzach. Szybkość, z jaką ryje ciemne swe lochy, jest zadziwiająca. Dopiero był tu, jeszcześ się nie obejrzał, a on het!... o kilkanaście już od ciebie łokci!... biegnie pod ziemią tak prędko, jak po dobrej drodze człowiek na koniu... Kret kopie ziemię przedniemi łapami, tylnemi zaś odrzuca ją po za siebie, a kiedy w korytarzu uzbiera się jej kupa, to dobywa się wtedy na powierzchnię i tam kupę oną wyrzuca. Po owych to właśnie kupach wyrzucanej ziemi (kopcach), oraz po tem gdzie są rośliny uschłe i ziemia zapadnięta poznać można, gdzie się krecie korytarze ciągną — a ciągną się one długo, bo od 100 do 150 łokci.

Ponieważ kret przeznaczony jest do życia podziemnego i słońce go nie obchodzi, więc też jego dzień i noc inne są aniżeli innych zwierząt i ludzi. Pracuje on „jak wół“ przez 3 godziny — i to jest jego dzień. Po trzech godzinach pracy śpi także 3 godziny — i to jest jego noc. Obudziwszy się, zaraz idzie do roboty i kopie dopóki znów jego noc nie przyjdzie — i tak ciągle. Pracuje w ten sposób nietylko w lecie, ale i w zimie; w zimie też często daje się widzieć, jak wyrzuca kupę ziemi z pod świeżego śniegu lub z pod zamarzłego gruntu. W pracy zaś tej podziemnej naprzemiany zakopuje się bardzo głęboko, to podnosi się aż do samego wierzchu ziemi. Jak odpoczywa, to leży pod korzeniami drzewa albo w innem niedostępnem miejscu i legowisko jego łatwo poznać po znacznej wielkości nasypie. Próżnoby się jednak kusił, ktoby go chciał w legowisku przydybać; mając on bowiem słuch doskonały, najmniejszy szmer odróżnia — i niebawem ucieka...

Obok swej pracowitości i przezorności kret jest posępny, okropnie swarliwy i drapieżny. Żywi się tylko pokarmem mięsnym, a rośliny za nic ma sobie i ani nań spojrzy. Na pożywienie jego składają się różne podziemne owady, glisty, robaki

(które zapomocą ostrego węchu wybornie wyszukiwać potrafi), oraz majowe chrabąszcze, liszki, ptaki, myszy, raki i żaby; jeżeli zaś podsunie mu się pod łapy drugi kret, to i tu bez ceremonii rzuca się na niego i z przyjemnością pożera brata!...

Jest on więc szkaradnie dziki — a i nienasycony; potrzebuje na nasz dzień tyle pokarmu ile waży własne jego ciało, — bez jedzenia nie może dłużej wytrzymać niż 12 godzin i po 12 godzinach głodu umiera. — Po korytarzach, które kret ryje, chodzą i inne zwierzęta: myszy, żaby, lecz wiedząc o tem, że z niemi nie żartuje, okropnie boją się z nim spotkać. Jakoż istotnie kret nietylko w korytarzu nie przepuści tym stworzeniom, ale poluje nawet na nie przy otworach korytarza. Przycupnąwszy tam, siedzi cichutko i podpatruje na żaby, czy która nie idzie, a jak ją podpatrzy, rzuca się i za tylne nogi wciąga ją pod ziemię... Żaba krzyczy wtedy głośno i żałośnie, bo wie, co ją czeka, ale żadne jej prośby ani lamenta nie pomogą, kret chrup! chrup! chrup!!.. i żaby już niema. A jak z żabami, tak samo postępuje ten rozbójnik z rakami i z jaszczurkami.

Bądź co bądź *straszna ta żarłoczność* czyni właśnie kreta **pożytecznym tępicielem** wrogich dla gospodarza owadów.

I dlatego, że kret jest dla nas pożytecznym, przebaczamy mu, że dokucza nam swem ryciem.

Osobliwie na polach i w liściastych lasach jest on pożądanym gościem, gdyż je starannie oczyszcza od robactwa, gąsiennic oraz szkodliwych owadów. Wzruszając zaś swem ryciem orną ziemię, nawet ją czyni pulchniejszą, przez co i woda deszczowa łatwiej w nią wsiąka. A tak stworzenie to niosąc tam pomoc rolnikowi, jest prawdziwie dobrze zasłużonym jego *współpracownikiem.*

Inaczej rzecz się ma co do pobytu kreta w ogrodach i na łąkach. Tu jest nieprzyjacielem. W ogrodach rozrywa ziemię, w której korzonki drogich roślin czerpią pożywienie, — a na łąkach, sadząc kopce czyli kretowiska, przeszkadza kosić trawę nisko i przyprawia gospodarzów o znaczne w sianie straty.

Ponieważ kret w ogrodach i na łąkach przynosi szkodę, więc tam trzeba się od niego bronić.

Dla ochronienia tych miejsc od napaści kretów jest taka rada. Należy utłuc skorup i szkła i zakopać takowe na półtorej lub dwie stopy głębokości w okół przestrzeni, którą się chce od nich zabezpieczyć, — taki ostry podziemny pierścień z pewnością wstrzyma owe zwierzęta, bo skoro zaczną się przezeń podkopywać, ukłują się w ryj i z odebranych ran wkrótce pozdychają.

W celu wystraszenia kreta z jego chodników, można tam wlać także troszkę smoły zwyczajnej; albo wetknąć tam kawałek kamfory, czosnku, cuchnące raki, stęchłe żaby lub zepsute śledziowe główki. Kret obdarzony czułym węchem, nie znosi żadnego odoru. Więc gdy w chodniku zaleci go niemiły zapach od owych przedmiotów, ucieka stamtąd jaknajdalej. I nie wróci tam, dopóki ów odór będzie w jego korytarzu.

Niektórzy ogrodnicy dla pozbycia się kretów, zasypują również ich korytarze świeżem niegaszonem wapnem. Takiego wapna jak się tylko kret ryjkiem dotknie, natychmiast zdycha.

Że zaś kret robi więcej pożytku, jak szkody, dlatego tępić go bardzo nie należy.

A teraz posłuchajcie, jakie jest o krecie podanie ludowe. Po wsiach niektórych tak sobie gadają:

Było raz dwóch braci: każdy po ojcu oddziedziczył pole. Młodszemu rola zarodziła śliczne zboże, starszemu wydała nędzne i mizerne.

Co tu robić? — myśli starszy — wmówię w brata, że tam, gdzie piękne jest zboże, jest moje pole. Udał się do mieszkania brata i zaprosił go, aby razem poszli oglądać urodzaje. Gdy młodszy brat wyraził swoją radość, że tak piękne ma tego roku plony, na to odzywa się starszy: „Jakże ty możesz mówić, że to twoje pole i twoje zboże? wszakże ja tu siałem i orałem. Jeśli masz jakąbądź wątpliwość o prawdziwości słów moich, poczekaj, ja cię przekonam, pole samo odpowie, że do mnie należy“.

Wspomnieć trzeba, że przebiegły brat starszy wykopał przedtem jamę w zbożu, ukrył tam syna swego, którego nauczył, ażeby na pytanie, czyje to pole, odpowiedział: „twoje“.

Zboże było wysokie, jama głęboka i zasłonięta tak, że ukrytego w niej chłopca zupełnie nie można było zobaczyć. Otóż stanęli obaj bracia tuż przy zbożu, a starszy donośnym głosem się pyta: „Słuchaj, czyje to pole?“ „Twoje“ — odpowiedział na to głos z ziemi.

„Wobec takiego cudu“ — odpowiedział skromny brat młodszy — „niechże to pole będzie twoją własnością, a ja zatrzymam tamto liche i mizerne“.

Obaj bracia wrócili, każdy do swojej chatki. Chciwiec był niezmiernie ucieszony, że mu się udało podejść i oszukać brata młodszego. Zadziwiło go jednak, że godzinę całą był już w domu, a syn dotąd nie wracał z pola. Czekał jeszcze godzinę, drugą również nadaremnie. Wraca znowu w pole, przychodzi na miejsce, gdzie syna ukrył, a tam z głównej

jamy prowadzą nory i chodniki na wszystkie strony. Syna też zobaczył, ale go poznać nie mógł i wierzyć nie chciał, żeby to był syn jego, bo oto, by ukarać chciwego ojca, Pan Bóg chłopca jego zamienił w kreta.

Odtąd — opowiada lud — istnieje kret i ryje w ziemi i łapki przednie ma nieco podobne do rąk ludzkich.

Prosimy

już po raz czwarty w tym roku, aby Sz. Czytelnicy nadsyłali prenumeratę, skoro od początku roku pismo biorą.

Nam to potrzebne, aby uregulować nakład, czyli abyśmy wiedzieli, ile nadal drukować numerów gazetki.

Niełądnie postępują ci. którzy pismo biorą, a zań nie płacą, lub zwracają dopiero 3-ci, lub 4-ty numer.

Kto nie miał ochoty gazetek naszych prenumerować. powinien był zaraz pierwszy numer nam zwrócić, lub uwiadomić nas, że gazetek naszych prenumerować nie będzie. Po co było zatrzymywać 1-szy lub 2-gi numer, kiedy się nie miało zamiaru prenumerować?

Teraz już nie przyjmujemy zwrotu; kto **4** numery zatrzymał, ten ma za nie zapłacić **50** centów, gdyby nie chciał być nadal prenumeratorem, albo prenumeratę całoroczną, lub półroczną, jeżeli dalsze numera zatrzymywać będzie.

Do niniejszego numeru dołącza się 4-ty numer *Nowin* i *Rozmaitości.*

W Krakowie, czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.